Rok XV. We Lwowie, dnia 4. października 1907. Nr. 40.

# Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.



## Kurs społeczny w Przemyślu.

Nie zrażając się ogromnemi trudnościami, na jakie w kraju naszym natrafia praca społeczna, czynią nasi Najprz. Arcypasterze, co tylko mogą, żeby nas do tej pracy zachęcić. Nowego na to dowodu dostarczył kurs społeczny, który odbył się z inicyatywy i pod przewodnictwem J. E. Najprz. X. Biskupa Dra Józefa Pelczara w Przemyślu 24. i 25. września r. b. W pięknej sali »Przyjaźni« zgromadziło się sto kilkadziesiąt osób, przeważnie księży, między którymi było kilku z Królestwa, Litwy i Żmudzi. Ze świeckich przybyli: X. Władysław Sapieha, X. Jerzy Czartoryski, hr. Szeptycki i inni, posłowie: Biały, Czajkowski, Kozłowski, Wiącek.

J. E. X. Biskup Pelczar powitał w kilku słowach zgromadzonych, poczem na Jego propozycyę wybrano prezydyum, w którego skład weszli: hr. August Dzieduszycki, radca Zenek ze Sambora, X. Prałat dr. Zimmermann z Poznania, redaktor „Ruchu chrześcijańsko-społecznego“ i poseł radca Biały. Na sekretarzy wybrano XX. dra Szmyda i dra Trzeciaka (redaktora „Echa Przemyskiego“).

Pierwszy referat „O szerzeniu pożytecznej oświaty wśród ludu, a mianowicie o czytelniach, pismach ludowych, pogadankach i wykładach“, odczytał X. Dr. Szmyd: Praca nad oświeceniem ludu należy do obowiązków kapłana, który przez to przyczynia się także bardzo skutecznie do podniesienia ekonomicznego swoich parafian. 2,800.000 mieszkańców Galicyi nie umie jeszcze czytać i pisać, wielka zaś część tych, którzy pokończyli szkoły, nie kształci się dalej i z czasem nawet zapomina prawie sztuki pisania a ze sztuki czytania prawie żadnej nie ma korzyści. Trzeba więc zakładać i szkoły dla analfabetów i czytelnie i wypożyczalnie książek, których dostarczają „Towarz. Oświaty ludowej“ i „szkoły ludowej“ (od tego nie powinno się także usuwać duchowieństwo, chociaż w niektórych kołach Tow. szk. lud. zaznacza się duch antyreligijny). Zaniedbanemi dziećmi powinny zajmować się »Rady parafialne«. Dalej trzeba popierać jak najusilniej dobrą prasę ludową, a w szczególności „Prawdę«, »Gazetę Niedzielną«, »Postęp«, »Echo Przemyskie«; nie jest zaś pożądane tworzenie pism nowych, lepiej udoskonalać te, które już istnieją. Co niedzielę należy urządzać odczyty i pogadanki, zwłaszcza w porze zimowej, w czem proboszczowi mogą pomagać słuchacze uniwersytetów.

W dyskusyi, która wywiązała się nad tym referatem, skarżył się X. Borczyk, że pewna część nauczycieli ludowych rozpowszechnia broszury antyreligijne. X. Kan. Koleński wystąpił w obronie nauczycielstwa, które nie może odpowiadać za winy jednostek, do niego należących. Natomiast zarzucił galicyjskiej szkole brak charakteru narodowego; w podręcznikach niema prawie rzeczy polskich, — nauczyciele boją się uczyć dzieci pieśni polskich patryotycznych. Dalej ubolewał mowca nad tem, że jesteśmy rozbici na stronnictwa i rozpolitykowani i że lud także interesuje się głównie lekturą partyjną, polityczną. Inni zaś mowcy wypowiedzieli zdanie, że szkoła nasza jest narodową.

X. Dziedzic stwierdził, że świeccy nie popierają pism ludowych i nie pomagają duchowieństwu w pracy nad oświatą warstw niższych. Poseł Wiącek przyznał zupełną słuszność słowom X. Koleńskiego, że chłopi nasi czytają przeważnie tylko pisma polityczne a nie czytają prawdziwie kształcących, a w szczególności pouczających o rolnictwie. W dalszym ciągu podniósł zasługi X. Tyczyńskiego (proboszcza w Albigowej), który daje pracę na miejscu wszystkim swoim parafianom i przez to powstrzymuje ich od emigracyi. Poseł Kozłowski wyraził zdanie, że widoczny jest postęp wśród obywatelstwa wiejskiego i miejskiego w tym kierunku, że ono zajmuje się więcej niż dawniej pracą społeczną. Dalej zachęcił również do rozszerzania dobrej prasy, która ma daleko trudniejsze stanowisko niż prasa niekatolicka, nie znająca żadnych skrupułów i obiecująca ludowi mienie innych. Szkole naszej zarzucił, że chce w 6 latach załatwić pensum zbyt wielkie, które jest rozłożone gdzie indziej na lat 8 i że w podręcznikach jest dużo niepotrzebnego balastu: po-

uczają one np. jak wysoko leży Złoczów po nad powierzchnią morza i wyliczają stacye kolejowe między Lwowem a Wiedniem itp. X. poseł Wesoliński zastanawiał się nad sprawą kolportażu dzienników i broszur i uznał za rzecz potrzebną, żeby w każdej wsi znajdował się kram, na to przeznaczony. X. Prałat Pastor wypowiedział nadzieję, że lud nasz za kilka lat wytrzeźwieje z oszołomienia, wywołanego przez agitacyę ludowców i przekona się o wartości ich kłamliwych obietnic.

Drugi referat »O pracy katolicko społecznej w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej« odczytał X. Prałat Zimmermann: Praca ta odbywa się wśród warunków niewymownie ciężkich. Z wieży gnieźnieńskiej nie zobaczysz już niestety ani jednego dworu polskiego, — za to »czerwienią się jadowicie« wokoło domki kolonii niemieckich. Znikają całe parafie; tak np.' przestała już istnieć parafia Skórki, o której w schematyzmie z r. b. zapisano: »ecclesia desolata«! Pomimo tego akcya katolicka zrobiła już bardzo wiele, tworząc liczne stowarzyszenia, które ożywione są duchem katolickim, chociaż nie wywieszają firmy wyznaniowej. Założono 302 kółek rolniczych, posiadających własne machiny i ulepszających ciągle gospodarstwo rolne, którego wydatność jest dwa razy większa niż w Galicyi; wydrenowano 300 tysięcy morgów (morg pruski jest o połowę mniejszy od naszego). Spółki pożyczkowe uwolniły mieszczan i włościan od zależności od żydów, których bywało przed kilkudziesięciu laty 40% po miastach; dziś są miasteczka, gdzie wcale już niema żydów i sprzedano ich bóżnice. W r. 1906 posiadały już spółki 118 milionów marek. Powstało 13 spółek parcelacyjnych. Udział księży w zarządzie spółek budzi zaufanie ludności. Handel polski podnosi się z każdym rokiem. Poznań ma już kilkaset sklepów polskich. Jest 155 stowarzyszeń robotniczych, liczących 22 tys. członków. Słabo jeszcze rozwijają się związki czeladników, terminatorów i »polski związek zawodowy«, który miał w r. z. 16 tys. marek dochodu a wydał na strajki 7 tys. Dyecezya ma własny dom katolicki, drukarnię, związek XX. misyonarzy świeckich i 690 czytelni ludowych. Nakład roczny polskich czasopism wynosi już 180 tysięcy. Niestety są wśród dziennikarzy także szowiniści, spekulanci, którzy piszą artykuły, umyślnie drażniące rząd, żeby pomnażać przez to liczbę swoich abonentów. W końcu zwrócił Referent uwagę na potrzebę organizacyi 300 tysięcy robotników polskich, z Galicyi przybywających co roku do Prus i niemiłosiernie tam wyzyskiwanych. C. d. n.

---

## Z Wielkopolski.

(Korespondencya).

Szczególnem zrządzeniem Bożem w ostatnią niedzielę, 15. września, jeden biskup w naszych stronach oddał Bogu ducha, a w trzy godziny później rozpoczynał się obrzęd konsekracyi drugiego. Obaj biskupi nie dyecezyalni ale sufragani.

Zgon śp. ks. biskupa **Antoniego Andrzejewicza**, sufragana gnieźnieńskiego, był niespodziewany i nagły. Przed dwoma laty przeszedł on ciężką niemoc, ale wyzdrowiawszy, odzyskał na pozór siły i mimo wiek niemłody pełnił biskupie swoje powinności. Ostatnia jego przedśmiertna podróż była do parafii w Zabartowie na Krajnie przy samej granicy W. Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich. Wyjechawszy w sobotę w dobrem zdrowiu, witany był po drodze w Nakle i Witosławiu, a przybywszy na miejsce, tego samego dnia wybierzmował jeszcze 400 osób. Przy wieczerzy oświadczył, że żadnego nie czuje zmęczenia i udał się wcześnie na spoczynek, w tej myśli, że nazajutrz dalej bierzmować będzie. Tymczasem Pan życia i śmierci postanowił inaczej.

Gdy rano o 7 wbrew zwyczajowi w pokoju ks. biskupa było jeszcze cicho, wszedł kapelan jego, wikaryusz kadedralny, ks. Jagodziński, aby go obudzić. Spał na pozór. Schwycił go za rękę, była ciepłą. Biskup się nie poruszył. Przestraszony kapelan zawołał gospodarza domu, ks. Flacha. Przekonali się, że Bóg sługę swojego śród snu przed sąd swój zawezwał. Krótko przed szóstą katastrofa musiała nastąpić. Można sobie wystawić, że jak grom wiadomość ta żałobna we wszystkich uderzyła. Trzeba sobie przypomnieć, że żyjemy w stosunkach nie normalnych i że strata każda tego rodzaju jest stratą publiczną, jest klęską...

Zmarły dostojnik urodził się 22. maja 1837 w Kowiecku, wsi powiatu pleszewskiego, która przed trzema laty smutnej nabyła sławy. Dla niezgody bowiem rodzinnej pomiędzy spadkobiercami po dyrektorze Józefie Morawskim, wystawiona na sprzedaż publiczną, nabyta została przez rząd pruski na domenę i na zawsze wyszła z rąk polskich. Córka osoby, która się może najwięcej przyczyniła do tak smutnego obrotu tej sprawy, pani Pułaska, wnuczka dyrektora Morawskiego, zamordowaną została w r. b. na publicznej drodze przez bandytów w Królestwie, jako niewinna ofiara za niepopełnioną przez siebie winę. Matka biskupa, Klementyna z Janiszewskich Andrzejewiczowa, zmarła u syna w Gnieźnie, była siostrą znanego niegdyś w Krakowie wyznawcy wiary, ks. Jana Chryzostoma Janiszewskiego, biskupa sufragana poznańskiego, polityka, mówcy i pisarza, jednego z najznakomitszych mężów w Wielkopolsce. Miała więc ta pani szczególniejsze szczęście być siostrą jednego a matką drugiego biskupa.

Pierwsze początki nauk otrzymał śp. biskup Andrzejewicz w szkółkach elementarnych, polskich jeszcze, w sąsiedztwie Kotowiecka, w Jedlcu i w Gołuchowie, teraz daleko wsławionym artystycznymi zbiorami hr. Izabelli z ks. Czartoryskich Działyńskiej. Oddany r. 1848 do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, ukończył je w r. 1856, poczem wstąpił do seminaryum duchownego w temże mieście, gdzie ukończył nauki teologiczne a uzupełnił je na czwartym roku teologii w seminaryum praktycznem w Gnieźnie. Wyższych nauk za granicą śp. biskup nie pobierał, co umiał, a umiał wiele, swojej własnej pracy i pilności zawdzięczał. Wyświęcony w r. 1860 na kapłana, posłany był na wikarego naprzód do Trzemeszna, potem do Inowrocławia, skąd śp. Arcybiskup Ledóchowski powołał go na subregensa i profesora do seminaryum w Gnieźnie, w którem wykładał homiletykę i katechetykę i zaprawiał młodych lewitów do tych tak

ważnych gałęzi kapłańskiego zawodu. Wówczas szkoła nie była jeszcze przed kapłanami zatarasowaną, jak dzisiaj, więc mógł ks. Andrzejewicz młódź duchowną prowadzić raz w tygodniu do katolickiej szkoły św. Jana, aby pod jego okiem praktycznie ćwiczyli się w uczeniu dziatek prawd wiary św.

Nastały smutne czasy »kulturkampfu«. Seminarya przez rząd zamknięte, opustoszały. Ks. Andrzejewicz nie próżnował. Osierociała właśnie przez śmierć proboszcza parafia św. Wawrzyńca w Gnieźnie. Objął jej zarząd, nie urzędownie, bo na urzędowe wzięcie w posiadanie prawa ówczesne nie pozwalały — i przez długie lata gorliwie obowiązki kapłańskie w niej spełniał. Miało wówczas Gniezno całe grono znakomitych kapłanów. Regensem seminaryum był uczony biskup sufragan Cybichowski, profesorami ks. Andrzejewicz, ks. Feliks Kozłowski, b. bibliotekarz uniwersytetu we Fryburgu badeńskim i autor, założyciel ochrony dla sierót katolickich w Gnieźnie, (prawnik z zawodu i wdowiec), później ks. Łukowski, wydawca *„Liber beneficiorum“* Łaskiego, zmarły przed kilku laty jako Filipin w Tarnowie. W kapitule zaś zasiadał ks. Korytkowski, zmarły jako biskup-nominat, zasłużony autor dwóch ogromnych dzieł w 9 tomach in 4-o o kanonikach i arcybiskupach gnieźnieńskich. Dopełniał liczby biskup Janiszewski, który po ukończeniu kulturkampfu wykluczony był wraz z Kardynałem Ledóchowskim przez rząd pruski od restytucyi do dawnej godności i tylko pod tym warunkiem otrzymał pensyę, jeżeli się tych dostojeństw zrzeknie. Powróciwszy z wygnania z Krakowa, zamieszkał w Gnieźnie w kuryi swojego siostrzeńca, który tymczasem został kanonikiem katedralnym a gdy ten z urzędem później regensa seminaryum się rozstał, przeniósł się ks. Janiszewski do mieszkania prywatnego w mieście, w którem dziwnym trafem tak samo nagle życie zakończył w r. 1891, jak w 16 lat później biskup Andrzejewicz. (Dok. nast.)

*A. Zaborowski.*

# Piękność w sztuce.

*I. Wartość estetyki. Poglądy p. Witkiewicza. Warunki upodobania estetycznego.*

(Dokończenie [1]).

Brak dobrej całości uderza też nieraz w utworach malarzy dzisiejszych: dla oryginalności, dla odróżnienia się od mistrzów starych, dla zaznaczenia, że artysta nie potrzebuje dbać o żadne prawidła estetyczne, maluje się kawałki tylko drzew i gałęzi, przecina się postaci osób w miejscach dowolnych i t. d. Największe jednak mistrzowstwo rysunku i kolorytu nie sprawi nam rozkoszy niezamąconej, jeżeli w obrazie nie widzimy skończonej i w sobie zamkniętej całości.

Ale jak pogodzić z tem prawidłem fakt, że bardzo wdzięcznym przedmiotem dla malarza bywają zamki zburzone, fragmenty kolumn i posągów? Na to odpowiadam, że widok ruin, znajdujących się np. na pagórkach, otoczonych drzewami, staje się pod wpływem gry barw i światłocienia bardziej nawet malowniczym niż widok dobrze zachowanych budowli. Mówiąc jednak o wymaganiu całości w sztuce, a w szczególności w malarstwie, nie rozumiemy przez to, że i ono może odtwarzać tylko przedmioty całe, t. j. nie pozbawione żadnych części składowych. Owszem, szczątki świątyń lub miast starożytnych, skały poszarpane, ludzie kaleki mogą stanowić tematy wyborne do obrazów, ale to nie znaczy, że malowidło może nam przedstawiać jakiekolwiek „kawałki“ n. p. jedną tylko nogę osoby, której reszta ciała znajdowałaby się po za ramą, albo jakikolwiek urywek innej całości. I obraz każdy musi być pojęty jako całość, zespalająca w sposób rozumnie obmyślany wszystko, co w nim widzimy: gruzy i kwiaty, skały i zwierzęta, światła i cienie, obłoki i morze, postaci ludzkie i twory fantastyczne.

Zgodność między treścią a formą. Niektórzy twierdzą, że cała sztuka zasadza się jedynie na „formie“, t. j. na doskonałości kształtów, na harmonii barw, linii i dźwięków, na piękności wyrażeń, — a „treść“ dzieła trzeba uważać za rzecz ze stanowiska estetycznego obojętną. To jednak twierdzenie prowadzi do wyników wprost niedorzecznych, jeżeli je spróbujemy zastosować do którejkolwiek ze sztuk pięknych. Przytoczyłem już na początku argumenty, którymi zbija p. Benedyktowicz zdanie p. Witkiewicza, że w malarstwie nie chodzi wcale o to, co ma być przedstawione, czy jakaś ważna chwila historyczna, czy zdarzenie biblijne czyli też dziewczyna, zbierająca rzepę. Zresztą mogłem się powołać i na samego p. Witkiewicza, który gdzie indziej pisze całkiem inaczej o znaczeniu „treści“ obrazu. Tu dodaję jeszcze kilka argumentów wykazujących, że w każdem dziele sztuki trzeba odróżniać treść od formy i że jedna z drugą powinna być w zupełnej zgodzie. Treścią dzieła architektury jest myśl budowniczego, który je stwarza i nadaje mu kształty zgodne z przeznaczeniem gmachu. Kościół nie może być podobny do pałacu prywatnego albo do sali balowej. Rodzaj i rozmieszczenie ozdób muszą być zastosowane do charakteru całej budowy. Bezmyślna mieszanina stylów, przyczepianie kolumn, nic nie dźwigających, dodawanie rzeczy, sprzeciwiających się celowi, dla którego gmach jest wzniesiony, to wszystko uzna estetyk za błędy rażące, chociażby samym liniom czyli samym formom tych składników budowli nic nie mógł zarzucić.

Treścią posągu są właściwości typowe i indywidualne człowieka lub innego jestestwa, które ma być wyobrażone w marmurze lub spiżu. Treść ta wymaga formy odpowiedniej: jeżeli mamy oglądać boga olimpijskiego, musi posąg odznaczać się pięknością idealną, która będzie go na pierwszy rzut oka odróżniała od portretu Demostenesa albo Augusta; jeżeli to ma być Dyana, musi mieć postać różną od Wenery. Odtwarzając śmierć Laokoona, nie mógł rzeźbiarz mieć na oku samej tylko piękności linii, ale musiał wyrazić boleść i rozpacz nieszczęśliwego kapłana i gwałtowne natężenie wszystkich ciała jego muszkułów.

I muzyka wyraża pewną treść, której nie można wypowiedzieć dokładnie słowami, która jednak da się odczuć mniej lub więcej wyraźnie. Inaczej działają na naszą duszę skoczne dźwięki kompozycyi wesołej a inaczej smutne akordy marsza pogrzebowego. Mylą się ci, którzy

[1]) Po niejakim czasie zamierzamy zamieścić jeszcze kilka artykułów o tej materyi a mianowicie o stosunku sztuki do przyrody, do moralności i do religii.

chcą wszystkie namiętności i stany umysłowe wyrażać zapomocą tonów, którym się zdaje, że treść każdej symfonii można podać słowami, ale z drugiej strony niepodobna zgodzić się na to, że muzyka nie zawiera w sobie nic więcej oprócz harmonii i rytmu.

Brak formy stósownej, czyli niezgodność między tem, co dzieło ma przedstawiać według swego założenia, a tem, co mamy przed sobą, odczuwamy jako błąd nawet wtenczas, kiedy musimy podziwiać doskonałość samego kształtu lub piękność wysłowienia. Wystarczy tu przypomnieć postać Herkulesową Chrystusa w Sądzie Ostatecznym Michała Anioła i postaci Świętych, których trudno odróżnić od potępieńców.

Z tego, co tu powiedziałem, wynika, że nie mają słuszności pisarze i artyści, którzy nie pozwalają mówić o idei w sztuce. Wyraz ten bowiem nic innego nie oznacza, jak tylko myśl, którą artysta przyobleka w kształty widzialne i która stanowi treść jego dzieła. Chodzi jedynie o to, żeby to nie była myśl oderwana, filozoficzna, historyczna, nie dająca się uzmysłowić (przypominam tu malowidła Kaulbacha w muzeum berlińskiem), ale myśl, stwarzająca postaci pełne uroku i życia. Do największych zboczeń w dziejach sztuki należy bezmyślne kopiowanie tworów przyrody (o czem będzie mowa poniżej). Kto nie ma własnych idei, kto nie rozwinął się duchowo przez pracę nad sobą i nie dąży do celów wyższych, nie będzie nigdy wielkim artystą, chociażby środki techniczne swej sztuki opanował zupełnie. Na tę jednak najważniejszą stronę wykształcenia zwraca się dzisiaj zbyt mało uwagi w akademiach sztuk pięknych.

Jasność i zrozumiałość. Mogłoby się zdawać, że o tym warunku upodobania estetycznego nie trzeba nawet mówić, że on sam narzuca się artystom, równie jak wszystkim innym ludziom, którzy myśli swoich udzielają drugim. A przecież zdarza się często, szczególnie w dobie obecnej, że artyści lubują się w mglistym, zagadkowym symbolizmie, który sprawia, że często nie można się wcale domyślić, co nam właściwie zamierzali uzmysłowić. Błąd ten popełnia między innymi często jeden z najlepszych zresztą naszych malarzy współczesnych, Jacek Malczewski. Nikt nie żąda od artystów, żeby tworzyli same tylko rzeczy zrozumiałe dla wszystkich, nawet dla umysłów najtępszych i nie posiadających żadnego wykształcenia, — pewne wiadomości historyczne i literackie są niezbędne do należytego pojęcia wielu arcydzieł sztuki,— ale po cóż komponować zagadki, których nie potrafią rozwiązać nawet wielbiciele artysty, unoszący się nad „głębokością" jego idei. U nas był pierwszym malarzem, który upodobał sobie język symboliczny, Władysław Podkowiński. Oto co pisze o jego „Ironii" p. Benedyktowicz[1]): „Pamiętam to jego arcydzieło, figurujące na krakowskiej wystawie Tow. szt. pięknych... W górnej części obrazu wynurzała się z tła majaczejąca głowa Sfinksa, — będąca, jak wiadomo, oklepanym wykładnikiem wszystkich dzisiaj symbolów i zagadek — w środku namalowane było serce, gorejące płomieniem i ociekające kroplami krwi, a od spodu, z poza ramy wyciągała się do niego para chudych brunatnych rąk, stanowiących swoim wyglądem coś pośredniego między rękami wiedźmy a goryla. Utwór ten, budzący uczucie odrazy, o mętnym i brudnym kolorycie, całym układem swoim tworzył skończony rebus, podniesiony do godności obrazu. Ale Podkowiński należał do rzędu tych malarzy, którzy nie mając szczęścia do sztuki i do publiczności, mieli je do piszących i drukujących kolegów, dzięki czemu wyniesiony on był na stanowisko jakiegoś szamocącego się, ale nie mogącego się wyłądz i przebić przez skorupę malarskich trudności geniusza, wskutek czego obraz został przyjęty i wystawiony na widok publiczny. Piszący sprawozdania z wystawy w bieżącej prasie krytycy, nie mogąc podnieść żadnego przymiotu, świadczącego choćby o przeciętnej doskonałości formy, rozpływali się nad głębokością myśli, co było wysoce charakterystycznem, jeżeli zważymy, że działo się to w chwili, kiedy w pełnym biegu były teorye Witkiewicza, który pisząc o Matejce, zużytkował tyle arkuszy druku, ażeby dowieść, że w obrazie nie myśl i nie idea, ale forma decyduje o wartości dzieła sztuki. Ale teorye w miarę potrzeby zmienia się jak rękawiczki i inaczej pisze się o Podkowińskim, który był górą, mającą mysz urodzić, a inaczej o Matejce, który królewskim płaszczem swego geniuszu przyćmiewał chodaczkowe talenta w ojczyźnie.. Od pojawienia się „Ironii" Podkowińskiego, występują coraz częściej artystyczne zagadki, szarady i rebusy, ubrane w symbole, a w obecnej chwili mamy ich całą powódź, w której utonęły wszystkie tak wysoko nawet przez obcych cenione przymioty polskiej sztuki" itd.

Symbolizm ten sprowadził na bezdroża i poezyę, która nas obdarza coraz częściej dziełami mniej lub więcej niezrozumiałemi, że tylko wymienię „Odwieczną baśń" Przybyszewskiego, „Powieść o udałym Walgierzu" Żeromskiego, „Skarb" Staffa, „Legion", „Wyzwolenie" i inne utwory Wyspiańskiego. Zwłaszcza Wyspiański pisze nieraz rzeczy, które każą wątpić, czy autor sam zdaje sobie sprawę z tego, co chce powiedzieć. Cóż mają np. znaczyć wiersze następujące:

„Jeden jest Prawdy wieczny bieg:
Że niemasz życia, krom przez grzech;
Jeden jest żywym wieczny los:
Wzajemnych zbrodni ważyć cios"[1]).

Wogóle trzeba powiedzieć o tym ostatnim utworze Wyspiańskiego, że pełno w nim rozkiełzanej fantastyczności, którą tylko częściowo możemy sobie wytłumaczyć[2]). Prawda, że autorowie dzieł symbolicznych mogą

---

[1]) „Rodowód secesyi w malarstwie i rzeźbie, jej kwiaty i owoce na naszej grzędzie" (Kraków 1905. Str. 22).

[1]) »Skałka« (Kraków 1907. Str. 8 i 60).

[2]) Hr. Stanisław Tarnowski charakteryzuje w ten sposób poezyę Wyspiańskiego (»Przegląd Polski« z kwietnia r. 1907 str. 54): »Ze wszystkich młodszych poetów polskich Wyspiański jest najbardziej pod wpływem Słowackiego: jest produktem jego poezyi z ostatnich lat życia. Chcący czy nie chcący, z wiedzą i wolą czy bez niej, naśladuje jego sposób pisania, naśladuje w tem, co (naszem zdaniem) jest słabą stroną Słowackiego. Tamten nie mógł z natury, czy nie chciał myśleć jasno i wyraźnie, zdawać sobie sprawy z tego, co myśli i pisze, pisał bez rozwagi, co mu przeszło przez głowę, bo miał to za natchnienie Ducha; ten podobnie nie chce myśleć jasno i wyraźnie, wystarcza mu roić, bo to ma właśnie za samą istotę natchnienia i poezyi, za jej i swoje prawo, za swoją wyższość, za warunek i cechę swej wyższości. W jego opowiadaniach odzywa się zawsze Słowackiego Król Duch; w dramatach

się powoływać na przykłady wielkich geniuszów, a zwłaszcza na Dantego, którego „Komedya“ zawiera ustępy, dotąd nie wyjaśnione, chociaż tak wielu pracowało nad nią komentatorów. I tak jedni przypisują trzem pieśniom pierwszym znaczenie moralno-religijne: pantera, lew i wilczyca mają wyobrażać zmysłowość, pychę i chciwość. Chart (Veltro), który umorzy wilczycę, ma oznaczać według jednych Chrystusa (?!), według innych wybawcę, który będzie pochodził z nizkiego stanu, inni znów widzą w nim jakiegoś świątobliwego Papieża. Drudzy uciekają się do wykładu historyczno-politycznego: ciemny las, w którym zabłądził poeta, ma wyobrażać Florencyę, pantera stronnictwa Czarnych i Białych, lew Francyę, wilczyca kuryę rzymską, chart księcia Can Grande della Scala. Ale są i tacy, którzy sądzą, że chart oznacza samego poetę.

Upodobanie jednak Dantego i innych wielkich poetów w trudnych do wytłumaczenia symbolach i alegoryach nie dowodzi bynajmniej, że jasność i zrozumiałość nie jest w sztuce potrzebna. Brak tych warunków zakłóca zawsze w pewnej mierze zadowolenie estetyczne, chociaż i pomysły zagadkowe mogą wywierać wrażenie imponujące i zachwycać pięknością wiersza albo rysunku i kolorytu.

# Nieco o etymologii wyrazów kościelnych.

Powód do niniejszej pogadanki dała wzmianka ks. Walentego Gadowskiego w „Katechizmie illustrowanym“ o etymologii wyrazu: *Kościół*, który ma być rzekomo czysto polski (ma pochodzić od „kości“ — str. 74). Że tak nie jest, pokaże się niżej.

Naród każdy, przyjmując jaką rzecz, sobie nie znaną, czy to sprzęt, czy narzędzie, czy urządzenie, czy zwyczaj, od drugiego narodu, przyjmuje z rzeczą samą i jej nazwę. Widzimy to już u Rzymian, którzy poznawszy literaturę grecką, wzięli z nią razem i wiele jej wyrazów, jak: drama, comoadia, dialogus, philosophia, paedagogus itd. To samo powtarzało się u wszystkich ludów europejskich, biorących oświatę swą od Rzymian; każdy z nich ma wielką liczbę wyrazów, zapożyczonych z łaciny. Podobny proces odbywał się szczególnie przy wprowadzeniu chrześcijaństwa; tu zapożyczanie wyrazów było tem większe, bo chrześcijaństwo wprowadziło całkiem nowe pojęcia, konkretne i abstrakcyjne, których pogaństwo nie znało i na które naturalnie nie miało wyrazów odpowiednich. Księża zaś, uczący tych nowych pojęć, zwykle nie byli Polakami lub też za mało znali język polski, aby mogli tworzyć nowe wyrazy. Po cóż zresztą je tworzyć, kiedy Kościół ich nie potrzebował, bo językiem jego, jak i całego świata wykształconego, był wówczas język łaciński, a ten posiadał odnośne wyrazy. W wielu razach, a mianowicie dla duchowieństwa samego nie było nawet potrzeby tłumaczenia wyrazów, ko każdy ksiądz, używając w rozmowie z drugim wyrazów: credo, gloria, alba, korona, epiphania, vigilia, exequiae, diaconus, palma, litaniae itd., wiedział, że jest rozumiany. I te właśnie wyrazy, które albo mało, albo wcale nie wychodziły po za mury kościoła i klasztoru, zmieniły najmniej swój wygląd łaciński, nawet i później. Gdzie przychodziła do pomocy jeszcze końcówka, równobrzmiąca w łacinie i w języku polskim, tam już wcale nie trzeba było zmiany. Tak zatrzymały starą formę, oprócz już wymienionych, n. p. hostia, monstrancya, liturgia, patyna, rewerenda, krucyfiks. kantor, tonzura, klauzura, Marya Magdalena itd. W bardzo wielu wypadkach, kiedy wyrazy kościelne wydostały się po za mury kościelne, wystarczała zmiana jednej lub dwuch głosek: *l* na *ł*, o *um* na *a*, a czasem proste opuszczenie końcówki łacińskiej, jak np. infuła, stuła, reguła, kapituła, kommunia, lekcya, ewangelia, religia, procesya, pasya, rezurekcya, benedykcya, misya, sandały, organy lub: chór, habit, ornat, introit, adwent, pleban (od czego: plebania, plebański), sakrament, lament, lamentacya itd.

W większej części wyrazów następowało spolszczenie, polegające na tem, że wyraz łaciński zatrzymywano, ale nadawano mu brzmienie więcej polskie. Tak powstały np. wyrazy: msza, mszał (obok łac. missa, missale), konfesyonał, infułat, szkaplerz, trybularz, wikary, nawa (łac. navis), kapłan obok nowego kapelan (z łac. capelanus), z czego utworzono dalej: kapłański, kapłaństwo, dalej celebrować i celebrant, ministrować, ministrant i ministrantura, dziekan (obok pierwotniejszego dekanat). Jeszcze bardziej widoczne jest spolszczenie we wyrazach, jak: anioł (staropol. angiół), bierzmować (firmare), nieszpory (vesperae), obiata (oblatum) obok opłatka z tego samego łacińskiego wyrazu, ale przekształconego już przez księży niemieckich w Oblate; dalej: klasztor (claustrum, właściwie dom zamknięty z powodu klauzury), pacierz (z pater, pierwszego słowa Ojczenasza), refektarz (refectorium), ołtarz, ołtarzysta (z altare, miejsce wywyższone), brewiarz, misyonarz, wirydarz (ogród, viridarium). Do tej grupy należą także kościół z łać. castellum. Z języka polskiego wyrazu

---

Ksiądz Marek, Sen Srebrny Salomei, a jeszcze wyraźniej później odkryte i fragmentowe, jak Zborowski. Z tym pływem łączą się inne, także silnie działające. Pierwszym jest ta teorya ewolucyi, odradzania i wywyższania poezyi przez wyłamanie się z wszelkich reguł, form, zwyczajów: absolutna niezależność geniuszu i jego natchnień. Teorya w znacznej mierze prawdziwa: formy muszą się zmieniać, krępowanie się regułami i zwyczajami jest złe, a geniusz samą swoją mocą, na nic się nie oglądając, tworzy rzeczy wielkie i nieśmiertelne. To świat wiedział od dawna. Tylko tej teoryi brak jednego dodatku koniecznego, nawet dwóch. Pierwszy jest ten, że tylko formy poezyi się zmieniają — jej istota jest niezmienna i niezmienne konieczne pierwiastki tej istoty: natchnienie rzetelne, myśl rozumna i zrozumiała, prawda ludzkiej natury i duszy, piękna forma. Drugi dodatek ten: że geniusz tworzy dobrze, choć się na nic nie ogląda, bo jest geniuszem. Ale nie każdy nim jest. Dość, że niezależność zupełna, absolutna, wyższość nad wszystkie zużyte, przestarzałe pojęcia, zasady! Poeta tworzy, jak chce, niczem się nie wiąże i nic nie ma prawa jego wiązać. Prawa logiki, prawa myślenia, sak samo nie mają nad nim władzy, jak prawa języka.

Wpływ dalszy, to rozpowszechniony i modny tak zwany symbolizm, który mówi i głosi za zasadę, że to, co poeta tworzy, co wprowadza w opowiadanie czy w dramat, ludzie, zdarzenia, historyczne wypadki, to nie jest tem, czem się na pozór być zdaje: to nie ten pewien człowiek, oznaczony pewnem nazwiskiem, to nie ten fakt (historyczny czy fikcyjny), który jest w opowiadaniu lub na scenie — to jest symbol czegoś innego, co pod nim tkwi głęboko, głębokie i... niezgłębione«.

tego wywodzić nie można. Mamy wprawdzie dwa pierwiastki polsko-słowiańskie: kost-, z których jeden tkwi w pol. kość, a drugi, oznaczający miejsce zarosłe krzewami, zapełnione chróstem, wogóle miejsce nieuprawne (niem. Gestrüpp) kryje się w imionach miejsc: Kościan, Kostrzyn, Kościerzyna itp. Od żadnego jednak z tych pierwiastków wyraz „kościół" pochodzić nie może, bo temu sprzeciwia się znaczenie kościoła, jako Domu Bożego. Wprawdzie często spoczywają w kościołach zwłoki (nie „kości") umarłych, jednakże nie jest to głównym celem kościoła, lecz tylko czemś pobocznem, przypadkowem, a przecież nikt nie nazywa rzeczy od jej własności pobocznej, ale od głównej. Tak np. nazwano jadalnią pokój, który służy głównie do jedzenia, sypialnią pokój, w którym się śpi, a więc od głównego ich celu. Dlatego też nie nazwano kościoła ossarium, bo nie do składania kości służy. Zresztą polskie: kościół w stosunku do łacińskiego castellum odpowiada wszelkim wymaganiom gramatycznym; że łac. *a* przechodzi w jęz. pol. w o, dowodzą wyrazy, jak: altare-ołtarz, calendae-kolenda, cannabis-konopie, średnio łac. casula-koszula, lapatium-łopuch, acetum-ocet, itd.; że końcowe *l* przechodzi w *ł*, mieliśmy dowód w wymienionych wyżej: konfesyonał, morał itd., że *t* przed *e* musi się zamienić w *ć*, pokazuje choćby: tobie a ciebie, plotę a pleciesz. Znane jest także prawidło w języku polskim, że *e* pierwotne przed twardemi: *ł*, *n*, *d*, *t*, *r*, *s*, *z* przechodzi w o, np. cielę a ciołek, na czele a czoło. strbułg. bъczela pol. pszczoła. Polski więc wyraz kościół odpowiada całkiem łac. castellum. O tem dziś żaden językoznawca nie ma najmniejszej wątpliwości.

Całkiem zaś jasno przedstawi się nam pochodzenie łacińskie tego wyrazu, jeżeli uwzględnimy wyraz czeski: kostel, który żywcem przypomina pochodzenie łacińskie (por. Jan Gebauer: Historická mluwnice jazyka ceskeho I, 232). Dziwnem się więc wydaje, że ks. Gadowski, zresztą bardzo poważny pracownik na polu naukowem, wystąpił w obronie fałszywej, choćby nawet patryotycznej etymologii wyrazu: kościół.

Ale nie na tem koniec naszej pogadanki, bo nie wspomnieliśmy jeszcze o wielu wyrazach kościelnych, a to dlatego, bo nie pochodzą wprost z łaciny, albo też pochodzą wprawdzie z łaciny, ale myśmy je odebrali za pośrednictwem innego języka, a mianowicie niemieckiego. Mamy np. wiele wyrazów, używanych w kościele, wziętych z języka greckiego, a język łaciński tworzył tylko pomost, po którym te wyrazy przeszły do języka naszego. Niektóre wyrazy w tej wędrówce nawet się nie zmieniły, jak np. Kyrie elejson, Chryste elejson. Inne podległy tym samym zmianom, jak wyrazy czysto łacińskie, bo w łacińskiej odbierane formie równe dzieliły losy. Mamy więc: Jezus Chrystus, a z ostatniego wyrazu dalej zmienione: chrzest, chrzcić, chrześcijaństwo, antychryst, chryzmat, kanon, kanonik, ewangelia (wspomniana już wyżej), apostoł, epistoła, liturgia, katechizm, katecheta, anioł, katolik; mistyk, kleryk, laik, antyfona, muzyka, dyabeł, psalm, psałterz (strp. żołtarz, żałtarz) psalmista, cmentarz (κοιμητήριον z caemeterium), który mylnie łączono z wyrazem: smętny, kruchta (κρύπτη), papież (πάππας).

Mamy nawet wyraz przejęty z języka arabskiego: baldachim. Z drugiej strony mamy w języku naszym kościelnym wyrazy łacińskie, które jednakże nie wprost z łaciny odebraliśmy, lecz z jęz. niemieckiego. O tem przekonuje nas ich forma, odpowiadająca bardziej odnośnej formie wyrazu w jęz. niemieckim, niż formie łacińskiej. Taki np. wyraz, jak kielich, nie przyszedł do nas wprost z łac. calix, bo musiałby brzmieć: koliks, koliksz lub podobnie, lecz ze średniogórnoniemieckiego chelich, który daleko bardziej jest zbliżony do naszego wyrazu, niż wyraz łaciński, wyraz niem. jednak wzięty jest z jęz. łacińskiego. Podobnie wyraz żegnać nie jest bezpośrednim zastępcą łacińskiego signare, lecz pochodzi od starogórnoniem. seganon, nowoniem. segnen. Otóż w ten sam sposób przejęliśmy wyrazy: cerkiew ze średnioniem. chiricha, nowoniem. Kirche, pop-strgrn. pfaffo, proboszcz-strgrn. probost, a to z łac. praepositus, zakrystya-śrdgrn. sacristie, jałmużna-śrdgrn. almiosena (a to z gr. ἐλεημοσύνη); Kacerz-śrdgrn. Ketzer, dyalektycznie Katzer; post-strgrn. fasta, fastân; mnich mniszka-stgrn. munich (μόναχος, monachus), chorągiew, choć istnieje już w jęz. starobułgarskim: chorągy, pochodzi z gotyckiego horunga; biskup (ἐπίσκοπος)-strgrn. biscof, opat-strgrn. abbat.

Z języka niemieckiego wzięliśmy także imiona chrzestne, jak: Fryderyk, Zygmunt, Albert, Edward, Eryk, German, Henryk, Otto itd.

Stosunkowo mało wyrazów kościelnych wzięliśmy z języka czeskiego. Tak n. p. nasz krzyż nie jest bezpośrednim zastępcą łac. crux, ani śrdgrn. kriuz, lecz czeskiego: kriż.

Nie wszystko jednak wzięliśmy od obcych. Wiele pojęć, odnoszących się do Boga, do moralności, do obrzędów, istniało już za czasów pogańskich i weszło także do skarbnicy wyrazów Kościoła katolickiego. Tak mamy swoje własne: Bóg, duch, dusza, grzech, cnota, niebo, piekło, czyściec, nabożeństwo, uroczystość, błogosławić, pokuta, kajać się, spowiedź, święto, obraz, Trójca św., Boże Ciało, Boże Narodzenie, Wielkanoc, jutrznia, modlitwa, łaska, odpust. Są to zarazem pojęcia zasadnicze religii i moralności. *Dr. J. Leciejewski.*

---

# Kilka uwag o naszym katolicyzmie „liberalnym".

Warszawski »Dziennik Powszechny«, do którego filarów należał do niedawna Antoni Szech (uczący się obecnie teologii w Insbrucku), i który cieszy się poparciem kilku kapłanów polskich, otrzymał błogosławieństwo Ojca św. Nie potrzebuję dowodzić, że błogosławieństwo takie nie zawiera w sobie bynajmniej implicite aprobaty wszystkiego, co „Dziennik" ten dotąd napisał i że Stolica Ap. byłaby mu zarazem udzieliła z pewnością ojcowskiego upomnienia, gdyby go w Rzymie czytano. Możnaby przytoczyć cały szereg artykułów Dziennika Powsz., których treść sprzeciwia się mniej lub więcej wyraźnie nauce Kościoła. Nie lubujemy się w polemice, bo wiemy z doświadczenia, że ona zwykle nie przynosi pożytku, ale w pewnych razach jest ona potrzebną dla wyświetlenia prawdy.

Taki wypadek zachodzi m. zd. obecnie. W jednym bowiem z ostatnich numerów Dzien. Powsz. (235 z r. b.) czytamy (w ocenie broszury W. Gostomskiego p. n. »Po nad stronnictwami«) zdanie następujące: »Nie należy jednak sądzić, że autor pragnie, by owa ludowa Polska przyszłości miała się rozwijać na gruncie ciasno pojętej ortodoksyi. Wszelka ciasnota i martwa formułkowatość życia religijnego obca była duchowi narodowemu i wielkim jego rzecznikom, wskazującym istotne jego cele i zadania w jak najszerszem rozwinięciu wewnętrznych zasobów wiary i miłości. Dowodem tak mało u nas rozumiany towianizm, dowodem idee Cieszkowkiego, a w ostatnich czasach, mimo zgrzytów, te na wskróś narodowym i religijnym duchem przeniknięte poglądy Stanisława Szczepanowkiego (z którymi Dziennik Powszechny swych czytelników zaznajamia)«.

Do tych słów recenzenta (nie podpisanego) nie dodaje Redakcya od siebie żadnej uwagi, z czego można wnosić, że one wypowiadają własne jej zdanie. Jest to zresztą stałym jej zwyczajem, że chętnie przytacza sentencye niekatolickie bez żadnych komentarzy, bez żadnych zastrzeżeń, ale też nie przyjmując ich wyraźnie za swoje. Tak n. p. znalazł się w Nrze 167 Dzien. Powsz. z r. b. ustęp następujący [1]): »Pierwsi chrześcijanie byli przez pogan oskarżani o ateizm. A nawet i dziś — ludzie, których nie zadawalniają obecne formy wyznaniowe, ogłaszani bywają za ateuszów i sami, być może, uważają się za nieprzyjaciół Kościoła, kiedy w rzeczywistości ich zmysł religijny wysubtelnił się tylko i pogłębił. Zamiast zmierzać ku rozprzężeniu religijnemu, zdążamy ku chwalebnemu jej odrodzeniu. Chrystyanizm pierwotny nie był obaleniem judaizmu, był przeciwnie jego rozkwitem: Chrystyanizm dzisiejszy jest tylko niewyraźną zapowiedzią i symbolem religii jutra. Już wśród księży nawet, którzy tam w głębi katedry odśpiewują odwieczny psalm, niejeden uczuł się wstrząśniętym tajemniczą jakąś nostalgią. Jego serce się rozszerzyło, głos zadrżał ze wzruszenia, bo w cieniach nasuwającego się wieczoru usłyszał daleki pomruk zastępu ludów, które się poruszają i przygotowują się do uczynienia z idei katolicyzmu żywej rzeczywistości«.

Znamy dobrze tę piosnkę: idea katolicyzmu jest sama w sobie piękną i wzniosłą, ale Kościół nie potrafił jej wprowadzić w życie, jego nauka musi ustąpić miejsca jakiejś innej lepszej, jakiejś religii wolnej od ortodoksyi, od ściśle określonych i krępujących dogmatów! Tę nową epokę rozwoju religijnego zapowiedzieli Towiańczycy, Cieszkowski i Szczepanowski! A więc chodzi jedynie o to, żebyśmy starali się pojąć wszystkie aberracye mistycyzmu, głoszonego przez mistrza Andrzeja i skombinować je jakoś z poglądami naszego historyozofa i z tymi, które wyraził w różnych rozprawach swoich wielki przemysłowiec, założyciel »Słowa Polskiego« — a będziemy mieli religię lepszą od katolickiej!

Ale to łatwo się mówi, dopóki pozostajemy w sferze mglistych ogólników, dopóki nie zastanowimy się dokładniej nad treścią tych różnych pomysłów i nie zadamy sobie pytania: »w co właściwie każą nam wierzyć ci nauczyciele«? Czy mamy wierzyć, że Towiański był posłańcem Bożym, który spełnił wielką jakąś misyę na ziemi, dotąd nie pojętą i nie dającą się bliżej określić? — że nową objawił ludzkości prawdę, kiedy opowiadał w »Biesiadzie« swojej o »kolumnach« duchów dobrych i złych, które unoszą się nad każdym z nas, albo kiedy zwolennikom swoim kazał szukać siły cudownej pod pomnikiem Napoleona? — Albo, że Słowacki miał słuszność, kiedy opowiadał różne wcielenia Króla-Ducha, — albo kiedy sobie przypisywał moc nadludzką w wierszach n. p. następujących:

»Mały ja, biedny, ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroję
I ze mnie piorun będą mieć czerwony
I z mego szczęścia — do szczęścia podnoże;
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże«!

A dalej chcielibyśmy wiedzieć, czem Dziennik Powszechny może poprzeć swoje zdanie o prawdziwości poglądów historyozoficznych Cieszkowskiego? Kto czytał pisma tego myśliciela, wie, że one powstały pod fatalnym i prowadzącym na bezdroża wpływem spekulacyi Heglowskiej i że nie dochodzą do żadnych wyników, któreby można uważać za logicznie uzasadnione. Autor zapowiada nową, trzecią »epokę Ducha«. Wierzy on w Trójcę św, ale pojmuje Ją po swojemu: »Bóg Ojciec — principium, — identyczne z sobą Ja. Bóg Syn — rozróżnienie się Boga — przeciwstawienie się Sobie samemu, wydobycie z Siebie swojego nie — ja. Boże nie ja — to świat cały, to ludzkość cała; a jednak ten świat, ta ludzkość, należy do Bożego Ja, jest składowym i organicznym jego żywiołem, stanowi ciało Ducha jego.. Duch Święty, chociaż pochodzi od Ojca i od Syna, jednak jest przed nimi, poprzedza ich rzeczywiście, a więc odwrotnie znowu oni od Niego pochodzą.. Ten Sam — Bóg objawia się naprzód jako Stwórca, w jedni ze światem Bytu, — następnie jako Stworzenie, w jedni ze światem Myśli, nakoniec jako własna przyczyna i własny skutek, Duch działający [1]) i t. d.

W epoce Ducha św. ma ustać to wszystko, co dziś stanowi kult katolicki i ustąpić miejsca nowemu „kapłaństwu", nowej kulturze: »Każda czynność, czy to estetyczna, czy naukowa, czy też polityczno-socyalna; — każde powołanie, czy artysty, — czy nauczyciela, czy urzędnika, — ma prawo poczytywać się za uprawę Ducha, za czyn Bogu miły, a tem samem za Kapłaństwo. — Cultura bowiem to Cultus, a cultus Ducha, jest kulturą Ducha. — Duch św. innego Cultus nie chce, jedno kultury w Miłości. Nie dba już o żadne sztuczne ceremonie, wielebne zresztą zawsze jako symbol lub przybliżenie" i t. d.[2]). »Jak ofiary, sacra i sacrificia starożytne, przeżywszy się, odrodziły w Sakramentach chrześcijańskich, tak nawzajem te ostatnie, które przez całą Erę świata wznosiły i zbliżały ducha ludzkości do Boga, lecz w ostatnich wiekach obumierać zdawały się, — odradzają się w Sanktyfikacyach Ducha«[3]).

Otoż cała ta filozofia religii i historyozofia jest, jak autor sam przyznaje [4]), zaczerpnięta z przeróżnych nauk heretyckich, a ułożona w system według metody Heglowskiej. Nie da się ona w żaden sposób pogodzić ani z wymaganiami logicznemi ani z nauką Kościoła o Objawieniu i o religii. C. d. n.

[1]) Ustęp ten cytuję według „Przeglądu katolickiego" (Nr. 33 z r. b.).

[1]) »Ojcze — Nasz«. Tom trzeci (Poznań 1903. Str. 195 — 196; 212.

[2]) Ib. str. 294—295.

[3]) Ib. str. 296.

[4]) Ib. str. 219 i dalsze.

# KRONIKA KOŚCIELNA.

Jeszcze spór Commer-Schell. Udział w nim ks. arcybiskupa Teodorowicza. Reforma wyborcza. Strejk robotników gazowych a stanowisko prasy naszej.

Zdawałoby się, iż w sprawie Schella nie da się zgoła nic nowego wypowiedzieć. Na nieszczęście dodaje tworzywa do sporu ten, któryby naszem zdaniem miał wszelkie powody do dyskretnego milczenia. Mam na myśli prof. Commera. Napisał on książkę, wytykającą błędy zmarłego kolegi i przyjaciela, co było jego prawem a mogło być i obowiązkiem. Że się ta książka wielu zwolennikom würzburskiego profesora nie podobała, to naturalne i ujmy chyba Commerowi nie przynosi. Na nieszczęście tego ostatniego, wydobyto z pozostałych po Schellu korespondencyi listy Commera, świadczące o radykalnej zmianie poglądów tak co do osoby, jak i dzieł Schella u wiedeńskiego profesora. W listach bowiem tych. n. b. napisanych już po umieszczeniu dogmatyki Schella na indeksie, akcentuje Commer swoją gorącą dla S. przyjaźń i co ważniejsza — wielbi go jako najznakomitszego uczonego nowszych czasów, żałuje, że dzięki ubocznym wpływom potępiono te dzieła, uprzedzając w ten sposób tak konieczną dyskusyę naukową. Nawet nie waha się wskazać na źródło tych wpływów: są to według niego — Jezuici, którzy, w przeciwieństwie do Dominikanów, broniących Schella tak w Wiedniu jak i Rzymie, zdołali wymódz potępienie powyższe, tak szkodliwe dla nauki ka-

tolickiej w Niemczech. Errare humanum est, choć u dogmatyka nieco dziwne, zważywszy, iż między tymi zachwytami Commera a jego dziełem, potępiającem Schella, nie upłynęło wiele czasu. Ale co w tej sprawie dziwnem i powiedzmy szczerze wprost wstrętnem, to ten ostry ton, potępiający nietylko błędną naukę niedawnego przyjaciela, ale ten brak wszelkiego pietyzmu dla zmarłego, któremu do niedawna z przyjaźnią swoją i admiracyą wprost się narzucał. Tłumaczenie się Commera, już po ogłoszeniu tych mocno go kompromitujących listów, wydało się jego nawet przyjaciołom zbyt słabem i słyszeliśmy z nader wpływowych ust zwolennika wiedeńskiego profesora ubolewanie, iż tenże postępowaniem swem nielojalnem i niedelikatnem uniemożliwił sobie dalszą w Wiedniu pracę. Ogłoszone potem listy Schella do zażartego nieprzyjaciela katolicyzmu Nippolda, nieznane przedtem nikomu, a uczucia nieszczęśliwego profesora w nader złem świetle przedstawiające, oczywiście nie uwalniają Commera od zarzutu nielojalności i niedelikatności.

W polemice za i przeciw, jaka wskutek pracy Commera powstała, zabrał kilkakrotnie głos i J. E. X. arcyb. Teodorowicz, głos wielce w sferach katolickich niemieckich poważany. Ze sztuką i finezyą temu Najprz. Autorowi właściwą tłumaczył on genezę psychologiczną błędów Schella, nie zapominając, jak słuszna i jego zalet i zasług dla apologetyki katolickiej. Był to głos, który wielce się w Niemczech do uspokojenia umysłów przyczynił. Że taki głos pochodził z zapomnianej Polski, z tego się tylko cieszyć wypada. W wywodach Czcigodnego X. Arcyb. osoba niefortunna Commera małą tylko odgrywała rolę, choć jej dla dokładności nie dało się zupełnie pominąć. Czuł się jednak tem dotknięty Commer i napisał odpowiedź, która nic nie tłumaczy, choć niby sprostowaniem być miała. Dotknął jednak w niej ks. Arcybiskupa w sposób co najmniej naiwny, tłumacząc publiczności, iż Czcig. Autor jest arcybiskupem niełacińskiego obrządku. Obecnie zjawiła się w „Linzer Kirchenzeitung“ obszerna odpowiedź ks. Arcybiskupa, w której w sposób dowcipny a delikatny illustruje postępowanie Commera w tej całej aferze. Jest ona naszem zdaniem ostatnim wyrazem tego, co się w tej sprawie da powiedzieć. Że osoba prałata Commera na tej odpowiedzi nie zyska, to już tegoż własna wina.

Jedyny Sejm, który się załatwił z reformą wyborczą i to ku ogólnemu zadowoleniu, to Sejm dolno-austryacki. Partyi Luegera, której wyłączną jest to zasługą, nie odmawiają tej zasługi najzażartsi nawet nieprzyjaciele. Ta reforma wyborcza przyszła do skutku drogą kompromisa i uchwalono ją prawie jednogłośnie. Jedyna to i dla naszego Sejmu droga; oby o tem panujący u nas konserwatyzm nie zapomniał!

Mała rzecz a wielki wstyd! Wybuchł u nas we Lwowie strejk robotników gazowych. Znawcy stosunków robotniczych twierdzą, iż położenie tych robotników jest nader ciężkie, a płaca gorzej niż szczupła. Słuszna więc, by miasto, ciągnące zyski wielkie z gazowni, pamiętało i o tych helotach. — W oczach jednak pewnego odłamu prasy naszej kompromituje tę akcyę robotników okoliczność, że ją tym razem nie socyaliści, lecz organizacya katolicka podjęła. Wolałaby ta prasa widzieć na czele robotników p. Hudeca, Inde irae! — To już rzecz gustu. Ale czego sobie wprost wytłumaczyć nie można, to stanowisko władz miejskich, a zwłaszcza wiceprezydenta miasta p. Rutowskiego, który ponoś deputacyę robotników odesłał wprost do — socyalistów. To już chyba gorzej niż źle. To też ta odpowiedź p. Rutowskiego nie podobała się nawet „Słowu Polskiemu“ skądinąd strejkowi nieprzychylnemu. Wartoby, by nasi radni na seryo z panem R. o tem pomówili.

Jeszcze biskup Ropp. Litwini jego oskarżyciele.

Okazuje się, iż największa część oskarżeń, podnoszonych przez rząd rosyjski na ks. bisk. Roppa, pochodziła od jego owieczek litewskich i to nie tylko świeckich. W memoryale wysłanym do Petersburga, skarżą się Litwini na rzekome krzywdy przez ich Pasterza wyrządzone. Rząd, któremu ten gorliwy biskup jest wielce nie na rękę, z radością podjął te oszczerstwa i usiłuje tak w kraju, jak w Rzymie podkopać jego stanowisko, nie śmiąc na razie chwycić się wobec niego gwałtów.

Kłopoty rządu pruskiego.

Dotychczas nie zdołał rząd pruski rozwiązać węzła gordyjskiego w sprawie obsadzenia arcybiskupstwa poznańsko-gnieźnieńskiego. — Że swego niepewny, tego najlepszym dowodem głosy oficyalnej prasy, gdzie czytamy obecnie rzeczy, do których ona do niedawna nas nie przyzwyczajała. W sygnalizowanej rzekomej rozmowie z wpływowym prałatem rzymskim podnosiła prasa, iż trudność leży w wynalezieniu człowieka, któryby będąc Niemcem, nie był jednak germanizatorem lub będąc Polakiem, nie bawił się w polonizatora. — W ustach zażartych hakatystów to oświadczenie nader śmiesznie wygląda.

Czytając dzienniki z zaboru pruskiego, odczuwa się w nich echo głuchego niezadowolenia z polityki milczenia wyższych sfer duchownych, szczególnie biskupa Rosentretera, który na wszelkie, najsłuszniejsze skargi swych polskich owieczek odpowiada grobowem milczeniem. A przecież w Warmii dzieją się krzywdy wprost o pomstę wołające, godne illustracyi na wzór Drzymały.

Holandya. Nader intenzywna praca katolicka

Mało znamy stosunki holenderskie. Dla wielu jest to kraj wyłącznie protestancki. A jednak praca katolicka wre tam w całej pełni. Dawna nienawiść protestantów ustąpiła najzupełniej. Obecnie katolicy wraz z wierzącymi protestantami stanowią nawet większość izby poselskiej. Ale bo też na polu kulturalnem i socyalnem katolicy tam nie zasypiają sprawy. Odbywają się tam ciągłe zjazdy katolickie w każdej dyecezyi, a wynik ich jest za każdym razem nader praktyczny. W przeciwieństwie do nas, inicyatywa na tych zebraniach podjęta, wnet bywa zrealizowaną. To też praca ta katolików holenderskich w niejednym względzie mogłaby nam służyć za wzór, mimo rozmaitości stosunków.

*Ks. J.*

# Z Towarzystwa wzajemnej pomocy Kapłanów.

Dnia 27. września b. r. odbyło się zwyczajne posiedzenie Wydziału centr., na którem załatwiono następujące sprawy:

a) Przyjęto do wiadomości sprawozdanie z czynności Zarządu od ostatniego posiedzenia Wydziału, sprawozdanie kasowe, sprawozdanie z administracyi domu we Lwowie. Stan kasy działu wzajemnej pomocy wynosi 125.449 K. 57 h.

b) Załatwiono wniesione w tym czasie podania i prośby o tyle przychylnie, o ile postanowienia statutu i uchwały delegatów na to pozwalały.

c) Przyznano doraźne zapomogi dwom członkom.

d) Przyjęto do wiadomości obszerniejsze sprawozdanie z administracyi Domu księży i kościoła w Worochcie a szczególnie z ubiegłego sezonu.

Dom księży w Worochcie zdołał w bieżącym roku spłacić 814·40 K. z ciążących na nim zdawna długów, pozostaje jednak jeszcze do wyrównania z pożyczki bankowej i prywatnej kwota 3.600 K. Ten pomyślny stan rzeczy zawdzięczać należy zarówno regularniejszym wkładkom tych członków, którzy z niemi zalegali lub świeżo wpisali się dla korzystania z tej instytucyi Towarzystwa, — jak też obfitszym zwrotom kosztów administracyjnych od tych członków, któ-

rzy tego roku w Worochcie przebywali. Na ogół wypadła frekwencya togoroczna wydatniej, niż w poprzednich latach, jużto dlatego, że wcześniej rozpoczęły się ferye szkolne, już też i dlatego, że pogodna pora w minionym sezonie ściągnęła liczniejszych letników do Worochty. Ani razu bowiem nie było podczas feryi słotnej trzydniówki, tak zwykłej tego roku w innych okolicach, a chwilowe opady wynagradzała sowicie pogoda przeważnie piękna, jakkolwiek nie zawsze dość ciepła. Łącznie przebywało w Worochcie w ubiegłym sezonie 54 księży, z tych tylko 17 profesorów i katechetów.

Najliczniej zapełniony był Dom księży podczas rekolekcyi, którym przewodniczył ks. Kasper Mazur, spirytualny seminaryum tarnowskiego. Uczestniczyło w nich tylu księży, ile ich w danych obecnie warunkach dom nasz pomieścić może. Doświadczenie z dwu lat ostatnich wskazuje, że ćwiczenia duchowne mają w Worochcie zapewnioną przyszłość, zgłoszeń jest nawet więcej, aniżeli dom może uwzględnić, zarząd domu stara się o dogodne dla wszystkich warunki pobytu, a przyroda górska, czyste powietrze i pogoda — jak tego roku — wyborna przyczyniają się niemało do lepszego korzystania z rekolekcyi, a tem samem do licznych zgłoszeń.

Niespodziana śmierć zabrała dnia 11. września b. r. letniej kolonii worochciańskiej jednego z najżyczliwszych członków, stałego od pierwszych lat istnienia domu księży towarzysza i corocznego jego mieszkańca, X. Feliksa Malarskiego, katechetę gimnazyum w Stanisławowie. Obowiązkowe zajęcia przerwały w ostatnim sezonie dwukrotnie jego pobyt w Worochcie, wrócił jednak jeszcze przy końcu, aby wziąć udział w rekolekcyach — ostatnich w życiu. Po nieodżałowanej stracie takiego kolegi godzi się na tem miejscu zamieścić jego zacnej pamięci serdeczne wspomnienie, które niechybnie pozostanie zawsze żywem w kronice Worochty. R. i. p.

Od ostatniego sprawozdania, ogłoszonego drukiem, sprawiono dla kościoła w Worochcie: 2 nowe ornaty biały, 3 inne (zniszczone) dano do naprawy i uzupełnienia, zakupiono 2 ławeczki, 15 krzeseł, żelazną skarbonkę na składki, łódkę i kadzielnicę, 6 lichtarzy ołtarzowych, lawaterz do zakrystyi i jedną jeszcze szafkę na przybory drobniejsze, mały klęcznik, drabinkę składaną do oczyszczania górnych ścian, nieco bielizny kościelnej i kilka przyrządów zakrystyjnych. Ponadto otrzymały 2 rzeźbione figury ołtarzowe zupełne odnowienie i pozłocenie, a także malowidło ścienne i w oknach uzyskało w kilku miejscach naprawę i odświeżenie. Wydatki spowodowane tymi sprawunkami i naprawkami pokryto z zapasów wykazanych w sprawozdaniu a następnie z ofiar księży i składek letników (p. wykaz w nr. 37. Gaz. kość.). Z tego też źródła pokryto także wydatki liturgiczne (wino, hostye, światło, kadzidło itp.), które przy corocznej wielkiej liczbie mszy św. odprawionych w sezonie, wyniosły również pokaźną kwotę. Pozostała jednak reszta kasowa nie pozwala żywić nadziei, by w najbliższej przyszłości udało się sporządzić dla tegoż kościoła także harmonium nieodzownie potrzebne, drogę krzyżową, a nadto wytworzyć fundusz zapasowy na ewentualne naprawki i rekonstrukcye, a zwłaszcza na podniesienie wieży kościelnej, co już wielokrotnie wyrażali zwiedzający jako postulat techniczny a przynajmniej jako pium desiderium. Dlatego niech nam wolno będzie potrzeby kościółka tego polecić i nadal doświadczonej pamięci i ofiarności p. t. członków Towarzystwa.

We Lwowie dnia 27. września 1907.

**Od Wydziału centr. Towarzystwa wzaj. pom. kapłanów**
ul. Murarska 9 A.

*X. Dr. A. Jougan* wiceprezes. — *X. J. Boczar* sekretarz.

## Jubileusz zasłużonego Pracownika w winnicy Pańskiej.

Lwów 29. września r. b.

W dzień swojego Patrona doznał X. Michał Stasionis, kapelan PP. Benedyktynek we Lwowie a przed laty profesor seminaryum duch. w Tykocinie na Podlasiu, tej łaski Bożej, że mógł obchodzić uroczyście 50 letnią rocznicę swego kapłaństwa. Urządzeniem uroczystości zajęło się lwowskie Koło katechetów, żeby okazać swoją wdzięczność Czcig. Jubilatowi za to, że od długiego już szeregu lat należy on do stałych i najgorliwszych spowiedników młodzieży szkolnej. Uroczystość odbyła się w kościele N. P. Maryi Śnieżnej. X. Prałat Podolski wygłosił długie i wymowne kazanie, w którem uczcił prace i zasługi Jubilata, roztaczając obraz jego żywota pełnego trudów, poniesionych z miłości ku Bogu i Ojczyźnie.

X. Michał Stasionis należy do tego dzielnego pokolenia Litwinów, które całem sercem ukochało Polskę i pragnęło lepszą dla niej zdobyć przyszłość. Dlatego też naraził się w latach 1861—63 przez wybitny udział w organizacyi ówczesnej na niebezpieczeństwo śmierci lub gorszej jeszcze od śmierci — katorgi sybirskiej i widział się zmuszonym do opuszczenia kraju i do smutnej tułaczki na ziemiach obcych. Pracował jako misyonarz przez lat 15 w Grecyi, Turcyi itd. Dziś jeszcze, w 78-ym roku życia, spełnia on jak najsumienniej wszystkie obowiązki kapłańskie, o ile mu na to pozwalają siły, osłabione wiekiem i ciężkimi trudami. Uznał to i Najprz. Konsystorz Arcybiskupi, odznaczając go przywilejem noszenia rok. i mant.

Kończąc, oddajemy i ze swojej strony cześć należną zasługom Czcigodnego Jubilata i składamy Mu serdeczne życzenia!

*Redakcya.*

# Bibliografia.

X. Adam Podwin *„Drogowskazy (Listy do młodego przyjaciela)*. Kraków 1907. (Str. 203).

Dzielny pracownik na niwie katechetycznej (którego referat „O stosunku katechety do młodzieży“ wydrukowaliśmy z prawdziwą przyjemnością niedawno w Gaz. Kość.) udziela w tej książce wybornych rad i przestróg uczniom szkół wyższych i młodzieńcom, którzy już ukończyli swe studya. W 39-u krótkich, ale treściwych »listach« mówi Autor o celu naszego życia, o ideale, o szczęściu prawdziwem, o »światłości i mgłach«, o „świątyni pokoju«, o pracy dla Ojczyzny, o obowiązkach względem rodziny, o prawdzie, charakterze, czystości, egoizmie, o miłości Kościoła itd. Sądzimy, że książka ta odda cenne usługi wszystkim katechetom, którzy w niej znajdą materyał do egzort bez porównania lepszy niż znajdują w naukach niemieckich treści podobnej autorów bardzo wychwalanych. Autor dobrze zna młodzież i wie, jak do niej przemawiać; wysławia się zawsze logicznie, ale zarazem żywo i pięknie, w sposób, działający także na uczucie i wyobraźnię. Oto kilka próbek jego stylu:

»Często czujesz w duszy jakąś nieokreśloną tęsknotę za tem, co wielkie, piękne, szlachetne; nie brak ci chwil, w których miłość Boga, Ojczyzny, cierpiącej ludzkości, zestraja się w twej duszy w akord potężny, chorał cudownie brzmiący, a on łączy się w jej głębiach z przebrzmiałemi dźwiękami pierwszej, na kolanach matki odmawianej modlitwy, wywołuje wspomnienia lat dziecinnych a tak szczęśliwych, gdy nie wiedziałeś, co złe. To było owo dzieciństwo »sielskie—anielskie« (str. 3). — „Wejdźże więc na tę poważną

drogę! Nie zapominaj, że życie twoje rozkwita »na przełomie«! Tobie i twoim rówieśnikom trzeba powagi i siły wielkiej, abyście chorej ludzkości dopomagali do uzdrowienia jej; abyście w chwilach tak poważnych, jak te, które obecnie przeżywamy, podtrzymali ducha narodu, chronili go od zepsucia, — bo »narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból« (str. 29). »O potędze rozumu przekonuje nas owo „ignorabimus". Największy mędrzec nie może zaprzeczyć, że ono jest nieubłaganą koniecznością, musi się do niego przyznać. O tem przekonuje nas i nasze codzienne doświadczenie. Czy ono jednak ma nas upokarzać? Czy nie byłoby np. wprost głupstwem ze strony żeglarza, gdyby czuł się upokorzonym wtedy, gdy ogarną go ciemności na pełnem morzu? Czy będzie upokorzeniem dla niego, gdy, ujrzawszy wtedy światło morskiej latarni, niem kierować się będzie"? (str. 56).

Nie wątpię, że książka ta będzie miała wielkie powodzenie i mam nadzieję, że powodzenie jej zachęci szan. Autora do wydania także egzort dla młodzieży szkół średnich *P.*

„*Kazania Przygodne zbiorowe* wybrane z kazań śp. ks. Antoniego Stańkowskiego kanonika kapituły lwowskiej obrz. łać. Ks. J. Azbiewicza i t. d. wydawnictwa ks. Ludwika Dąbrowskiego proboszcza obrz. łac. w Jabłonowie". Lwów 1908. Str. 244.

Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że ten zbiór kazań bardzo różnych otrzymał tytuł niewłaściwy: »Przygodnemi« nazywają wszyscy kazania, które się prawi przy pewnych okazyach szczególnych, np. w uroczystości narodowe albo na nabożeństwie żałobnem za duszę jakiegoś nieboszczyka albo przy poświęceniu jakiegoś sztandaru i t. d. Tu zaś znajdujemy tylko kazania na cześć Świętych (św. Barbary, Anny, Stanisława Kostki, Tekli, Rozalii, błog. Jana z Dukli, na uroczystość WW. Świętych), na Zwiast. N. Panny, na dzień Oczyszczenia N. Panny, na urocz. Trzech Króli, na Nowy Rok, środę popielcową, I. niedzielę Adwentu, Zielone Świątki, niedzielę palmową i na dni krzyżowe. Otóż żadne z tych kazań nie jest »przygodnem« i nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego Wydawca nadał im tę nazwę?

Nie wiem też, dlaczego tylko przy pięciu wymienione są nazwiska autorów? Prawdopodobnie inni nie pozwolili się nazwać, ponieważ nie pragną sławy literackiej. Nie myślę im, rzecz naturalna, czynić z tego zarzutu, ale byłoby to rzeczą ciekawą dowiedzieć się, jak to wydawnictwo powstało? Obejmuje ono utwory kaznodziejskie, różniące się bardzo pomiędzy sobą zarówno pod względem treści, jak i formy: obok wcale dobrych, do których zaliczam w pierwszym rzędzie trzy śp. X. Stańkowskiego i dwa X. Azbiewicza, są i bardzo słabe, które zapewne nie były przeznaczone do druku, które więc należało trochę przynajmniej wygładzić i oczyścić z błędów językowych i ortograficznych, kiedy już szan. Wydawca chciał je w zbiorze swoim pomieścić.

Nie brak tu bowiem niestety i takich błędów a nawet rażących jak n. p.: »nie myśli« (str. 103) »pod owem szczęściem rozumieją« (150) »tę miarkę czasu używać« »którebyśmy mogli dobrze użyć« (151) »nie sprawiając ją« (164) „trosków" (185) »czylisz« (160). Zaimek »takowy«, który znaczy, jak wiadomo, tyle co »taki«, zastępuje kilkanaście razy zaimek osobisty: n. p. »walczyć z wielu trudnościami i takowe« (zam. je).. »pokonywać« (116). „On was od ubóstwa albo uwolni albo wam takowe tak uprzyjemni" (193). Najwięcej zaś razi ten błąd w zakończeniu kazania (115): »bym odmienił życie swoje występne, a czyniąc szczerą pokutę, w łasce i przyjaźni z Bogiem zakończył takowe. Amen«.

Nie mogę też pogodzić się z nowotworem (którego jednak dość wielu już kaznodziejów używa z upodobaniem): »uroczystujący« (dziś Święty) str. 87 i inne.

Tu i ówdzie znajdujemy zdania o budowie bardzo ciężkiej, zawiłej i niepoprawnej, jak np. na str. 118: „Gdyż owszem, pomijając, że nie godziwem i zabronionem jest wszelkie nabywanie lub posiadanie z krzywdą cudzą, nie mniej, jak i każde użycie złego (?), co kto posiada, do celów z prawem Bożem niezgodnych, wzywa też nadto i Apostoł osobliwie bogatych tego świata, lecz tem samem (?) wszystkich więcej od innych mających, abyście nie zaniedbywali dobrze czynić, w uczynki dobre bogacić się, łatwo dawać, użyczać, a tak sobie skarbić grunt dobry na potem, aby dostąpili żywota wiecznego«. Przed tego rodzaju zdaniami trzeba szczególnie przestrzegać kaznodziejów, bo tak nie powinni mówić, jeżeli chcą, żeby ich lud wierny rozumiał i chętnie słuchał. Całe to zresztą kazanie, z którego przytoczyłem ustęp powyższy (na urocz. błog. Jana z Dukli, miane we Lwowie w kościele OO. Bernardynów w r. 1886) wygląda tak, jak gdyby było nie dość swobodnym i niezręcznym przekładem z jęz. łacińskiego.

W innem znowu kazaniu (na urocz. św. Stanisława Kostki) są całe, długie ustępy zapożyczone z kazania Massillona na dzień zaduszny (o śmierci grzesznika i śmierci sprawiedliwego), o czem jednak szan. Wydawca wcale nie wspomniał (przypuszczam, że to kazanie Massillona nie jest mu znane i że autor nie wymienił w rękopisie źródła, z którego czerpał). Otóż nikt nie zabrania kaznodziejom powtarzać myśli, które już inni wypowiedzieli, — owszem nie radziłbym nikomu silić się na zupełną oryginalność i mówić rzeczy całkiem nowych, całkiem różnych od tego wszystkiego, co głosili Ojcowie św. i wielcy kaznodzieje wieków ubiegłych, wiemy też, że najwięksi z nich dużo korzystali z pism swoich poprzedników; — kiedy się jednak powtarza myśli niezwykłe i całe ustępy z dzieł innych autorów, powinno się to w druku zaznaczać. Ale tu chodzi jeszcze o rzecz ważniejszą: jakkolwiek znakomite są kazania Massillon'a pod względem retorycznym, to przecież zwroty jego i figury wymagają zwykle znacznego przekształcenia i uproszczenia, jeżeli chcemy ich użyć w naszych kościołach. On przemawiał do dworu Ludwika 14 go, a więc do ludzi inteligentnych, o kulturze wyrafinowanej, jakich dzisiaj niewielu znajdziemy wśród naszych słuchaczy. Od tych nie można oczekiwać, że dobrze zrozumieją zdania np. następujące:

„Pozna on (sprawiedliwy) wtenczas wielką cenę pokuty, najbardziej cieszyć go będzie to, że sobie odmawiał chwilowych uciech, któreby mu przy śmierci hańbę tylko i zawstydzenie przyniosły w zysku, że coby tylko cierpiał był w życiu dla doczesnych rzeczy, to wszystko przepadałoby było (sic) w godzinę śmierci, kiedy przeciwnie to, co ponosił dla Boga, jako to łza, gwałt, chęć umartwienia, poskromiona pasya, próżny punkt honoru przełamany, — wszystko to nigdy nie będzie zapomniane, gdyż mówi pismo św.: „Odda sprawiedliwym Bóg nagrodę za ich prace". — Kiedy się przyjeżdża do portu, słodko wtenczas przypominać sobie burze i nawalności morza — kiedy się wyszło zwycięzcą z walki, miło jest zwracać jeszcze myślą swe kroki i odwiedzać powtórnie pole bitwy, trudności i przeszkody, co ją sławną uczyniły, — tak i pobożny Chrześcijanin, kiedy umiera, miło mu patrzeć się na przeszłość, pożytecznie upłynioną dla siebie (sic) — podobny on jest wtenczas do Mojżesza, umierającego na św. górze, który nim skonał, obracając głowę z tego św. miejsca, rzuca jeszcze oczyma po tym obszarze królestw i narodów, które niedawno obiegł i które zostawia po sobie — widzi w nich mnogie niebezpieczeństwa, z których wyszedł — potyczki tylu zwyciężonych narodów — trudności puszczy pokonane, szemrania i potwarze swoich braci uniknione — wody czerwonego morza przebyte — głód, pragnienie wytrzymane, a witając z daleka przyobiecaną ojcom jego ojczyznę, śpiewa pieśń dziękczynną, umiera wesół i patrzy na św. górę, na której ma skonać, jako na nagrodę prac swoich i szczęśliwy cel zawodu swego« (str. 109).

Są niezaprzeczenie w ustępie tym wyborne figury krasomowcze (congeries, enumeratio i t. d.) i trzeba podziwiać sztukę kaznodziei, który potrafił w niewielu słowach tyle zamknąć treści, — ale nasz poczciwy chłop lub mieszczanin siedzi jak na tureckiem kazaniu, kiedy go takim naucza się stylem. Jeżeli dzisiaj chcemy myśli te powtórzyć, musimy je najpierw wypowiedzieć w zdaniach prostych, jasnych i krótkich, nie wspominając jednak o »przełamanym punkcie honoru« ani o zwycięstwach na polu bitwy, o których słuchaczom naszym nawet się nie śniło.

W innych znowu naukach tego zbioru znajdujemy ustępy aż nadto trywialne i nie licujące z powagą Słowa Bożego — a zwłaszcza w „próbce polsko-ruskiego kazania ludowego". Kończy się ono tak: »Ciły tyżdeń chrystyny — ba czasom 2 nedili — oto! meni gospodar! oto! czestny chrestyanyn katołyk! to kum jak ridko! niech mu Boh dadut zdorowieńko i carstwo nebesne! Amen« (str. 223). Wygląda to tak, jak gdyby Wydawca przytoczył dla rozweselenia czytelników zakończenie jakiegoś kazania ruskiego, które gdzieś słyszał, ale nie sądzę, żeby nam radził tak mówić. Zresztą nauka ta

jest zbyt krótka i już dlatego zadziwia jej umieszczenie wśród innych, które są znów przeważnie za długie.

Jeszcze może niejedno dałoby się wytknąć tym kazaniom, ale poprzestaję na zarzutach powyższych, które uczynić uważałem za swój obowiązek, żeby przestrzedz młodych kapłanów przed powtarzaniem z ambony wszystkiego, co tu przeczytają. Przyznaję jednak chętnie, że nauki te zawierają dużo treści dobrej, z której wszyscy możemy korzystać i dlatego polecam je czcig. Czytelnikom do nabycia.

*X. P.*

*„Śmierć ciała nie jest śmiercią duszy czyli: umarli żyją“.* Opracował prof. G. D. i S. B. (Kraków 1907. Str. 61).

Broszura ta, ogłoszona nakładem wydawnictwa „Więcej światła“, nie przeprowadza filozoficznego dowodu nieśmiertelności duszy i wogóle nie ma pretensyi do charakteru naukowego. Wydawcy zebrali tylko szereg opowiadań o pewnych wydarzeniach i zjawiskach duchowych, które są znane kołom wykształconym, zajmującym się psychologią, a które wielu już badaczom nasunęły wniosek, że dusza nasza okazuje się niekiedy już w tem życiu istotą niezawisłą od ciała i jego narządów i posiadającą siły całkiem różne od fizycznych. Bardzo ciekawe są np. fakty, których prawdziwość stwierdza sławny pisarz i profesor uniwersytetu w Turynie Dr. Lombroso. Był on do r. 1890 zaciętym przeciwnikiem wiary w istnienie świata niemateryalnego i był przekonany, że »siła bez materyi jest czemś równie niemożliwem, jak np. bicie serca bez — serca, że myśl jest tylko emanacyą mózgu, że objawy mózgowe zarówno genialne jak i zbrodnicze polegają na nieprawidłowym rozwoju niektórych części mózgu przy równoczesnym zaniku innych części«. Ale w r. 1891 był świadkiem naocznym faktów, które wywołały zupełny przewrót w jego zapatrywaniach. U pewnej osoby, którą leczył na chorobę nerwową, wystąpiły objawy, nie dające się fizyologicznie wytłumaczyć. Oczy jej straciły zupełnie zdolność widzenia, ale za to w i d z i a ł a  u c h e m. Mając oczy całkiem zasłonięte, potrafiła czytać gazetę, którą jej przyłożono do ucha. Nadto widziała przez mury, z odległości 2 kilometrów, swego brata będącego w teatrze. Przepowiadała wypadki przyszłe, których nie mogła przewidzieć w sposób naturalny itd.

Wnet potem miał Lombroso sposobność poznać sławne „medyum“ Eusapię Palladino, (o której produkcyach pisali u nas pp. Ochorowicz i Matuszewski) i widział dziwne rzeczy: stół podnosił się sam w powietrze, talerz z suchą mąką przewrócił się dnem do góry a mimo to mąka nie wysypała się, lecz zdawała się na chwilę przemienioną w masę żelatynową, z rękawa samego Lombrosa wyrosła gałązka z bardzo pięknemi różami itd. Później widział także eksperymenty sławnego chemika dra Crookes'a (czyt. Kruksa) z Homem i »duchem«, który nazwał się Katie King. Otóż to wszystko przekonało go, że zjawiska tego rodzaju wywołują po części czynności samego medyum, ale w pewnej części muszą one pochodzić od niewidzialnych istot nadziemskich, posiadających inteligencyę i siły magiczne.

Są jeszcze inne w tej broszurze opowiadania, zasługujące na uwagę, ale nie można tego powiedzieć o wszystkich; część bowiem należy do owych historyjek o »duchach« i dziwach, za których prawdziwością nie przemawia świadectwo osób znanych i poważnych.

Dodajemy, że szan. Wydawcy stoją na stanowisku chrześcijańskiem.

*P.*

## Notatki z prasy peryodycznej.

### „Czas“ a hrabina Montignoso.

Od miesiąca nie ma prawie dnia, aby w „Czasie“ krakowskim nie było drobiazgowych wiadomości, zwykłych i telegraficznych, o awanturnicy, która kompromituje męża, gorszy swe dzieci, hańbi imię katolickie. Pytamy: *cui bono* tak długo i tak szeroko się rozwodzić o tej kobiecie i jej rzekomem drugiem „małżeństwie“?

Brudy, śmiecie, odpadki składa się w porządnym domu do śmietnika, bo tam jest ich miejsce właściwe i przykrywa się szczelnie, aby ich oko ludzkie nie widziało i aby ich wyziewy nie zanieczyszczały powietrza.

Podobnie winno postępować uczciwe, katolickie pismo z brudami i śmieciami moralnymi, bez względu na to, jaki noszą one herb lub tytuł, bo to ich winy chyba nie zmniejsza. „Czas“ trzyma się widocznie innej metody i sądzi, że czytelnikom swoim sprawia tego rodzaju brudami ogromną uciechę. I potem się dziwi, że go księża ganią i że nie mają zaufania do pewnej partyi i pewnych osobistości. *Sapienti sat!*

*X.*

## Wiadomości dyecezyalne.

### Dyecezya przemyska ob. łac.

*Prezentę* na opróżnione probostwo w Żmigrodzie otrzymał ks. Franciszek W i l c z e w s k i, proboszcz w Żmigrodzie starym.



# J. WYPASEK

we Lwowie
ul. Krakowska 5.

poleca Wielebnemu Duchowieństwu swoją odznaczoną medalami srebrnemi

**Pracownię brązowniczą**

i skład wszelkich przedmiotów i przyborów kościelnych własnego wyrobu

ze złota, srebra, chińskiego srebra (alpaka), bronzu itd. wykonanych trwale, gustownie, po cenach najumiarkowańszych.

Najładniejszy wybór: Chorągwi, Welonów, Monstrancyi, Relikwiarzy, Kielichów, Puszek, Pająków, Lamp, Żelazek do pieczenia opłatków.

---

**Zakład rzeźby artystycznej**

## WOJCIECHA SAMKA

W BOCHNI

odznaczony medalem na wystawie krajowej we Lwowie 1894 r.

i złotym medalem na wystawie w Tarnowie 1905.

wykonuje **figury Świętych z drzewa**, wobec których nie potrzeba sprowadzać wyrobów zagranicznych, **ołtarze, feretrony** i wogóle wszelkie roboty rzeźbiarskie. **Figury Świętych przy drogach i pomniki** z kamienia, marmuru i granitu. Przyjmuje wszelkie odnowienia i reperacye.

Na żądanie wykaże się licznemi świadectwa WW mi Duchowieństwa i pp. Architektów.

Celem przekonania się, że wyroby moje są lepsze od zagranicznych proszę zrobić zamówienie. Nie brak nam rąk do pracy, niechże więc grosz zostanie w kraju zamiast wędrować zagranicę.

Zamiast wypisywać pochwały, że wyroby Pana Samka lepsze od zagranicznych, oświadczam się z gotowością zapłacenia kosztów podróży każdemu do Mariahilf w Kołomyi celem oglądania ołtarzy, zrobionych przez Pana Samka, jeżeli uzna, że roboty zagraniczne są lepsze od Samkowych. *Ks. Karol Przyborowski.*

---

**Wina** do mszy św. dostać można u ks. Petra Kraweca w Hanuszowcach poczta in loco Szepes megye, Węgry. Stołowe białe od 46 h. — wyżej; czerwone od 60 h. — wyżej. Tokajskie od 1 K 60 hal. wyżej. *Ręczy za prawdziwość wina: ks. Jan Kwiatkiewicz i ks. A. Łętkowski.*

---

## FABRYKA ŚWIEC WOSKOWYCH

**EDMUNDA MIKESKI**

w Krakowie, ulica Sławkowska l. 25

poleca swój własny wyrób świec woskowych (Paschały) gładkich i ozdobnych, z bukietami i wyzłacanych, oraz stoczków białych i kolorowych.

Na żądanie posyła się cenniki bezpłatnie.

**Skład świec stearynowych po cenach bardzo przystępnych.**

---

## Julian Kruczkowski artysta malarz

Lwów — ulica Batorego l. 26.

M a l u j e: kościoły, kaplice, obrazy do ołtarzy i t. d.

D o s t a r c z a: do kościołów i kaplic stylowe okna żelaznej konstrukcyi z kolorowem oszkleniem, posadzki mozaikowe i t. d.

Rysunki i szkice według własnego pomysłu wykonane przedkłada w razie otrzymania zamówienia bezpłatnie.

---




Ochrona prawna! — Wszelkie naśladownictwo podlega karze!

## Jedynie prawdziwym jest tylko Balsam Thierry'ego

z zieloną marką ochronną (Zakonnica). 12 flaszek małych albo 6 wielkości podwójnej albo 1 duża specyalna z zamknięciem patentowem: **5 kor.**

**Thierry'ego Maść Centyfoliowa**

na wszystkie, choćby zastarzałe rany, zapalenia, okaleczenia itd. 2 słoiki 3 kor. 60 h.

Przesyła się tylko za powziątkiem albo za przesłaniem należytości z góry. — **Oba te środki domowe są znane powszechnie i sławne.** Zamówienia adresować: **Aptekarz A. Thierry w Pregrada koło Rohitsch-Sauerbrunn.** Składy we wszystkich prawie aptekach. Broszury z tysiącami pism dziękczynnych oryginalnych gratis i franco — Na składzie **we Lwowie u Szymona Haya, Dra Piepes-Poratyńskiego i Zygmunta Ruckera.**

---

## Wina parafialne

z winnic

## TOKAY-HEGYALJA

Adres:

**Rzymsko katol. Urząd parafialny w Tolcsva koło Tokaju.**

Wina naturalne, wina mszalne z lat 1901, 1904, 1906 (Vinum genuinum), 1 beczka 135 litr. = 159 kor.

Najlepsze (Ausbruch) 1 beczka = 60 litr. = 120 kor. aż do 600 kor.

---

## Wincenty Kuczabiński

Lwów, ul. Kopernika l. 2.

**skład przedmiotów treści religijnej i szat liturgicznych.**

Utrzymuje na składzie w wielkim wyborze krzyżyki misyjne, medaliki różnego rodzaju, szkaplerze, różańce, książki do nabożeństwa dla ludu i wszelkie przedmioty dla kościołów i kaplic.

Wszystko w najlepszym gatunku i po bardzo nizkich cenach.

**Zakład artystyczny dla budowy ołtarzów i rzeźby Józefa Oblettera w St. Urich-Gröden (Tyrol) poleca się Przewiel. Duchowieństwu. — Cenniki na żądanie gratis i franco.**

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.